Album pachnący lawendą — palenieszkodzi

Od autora: Tekst, wysłany na "Konkurs lawendowy" dwumiesięcznika literackiego Sofa i Wydawnictwa Psychoskok, który nie zdobył żadnej nagrody :-).
Może spodoba się czytelnikom naszego portalu? Zapraszam do lektury!

Album pachnący lawendą

Stoję w filcowym płaszczyku, z ogromną kokardą na czubku głowy, w rączce badylek lawendy. Płaszczyk był koloru lila, kokarda biała i sztywna. Stara, czarno- biała fotografia, z tyłu napis: „Basia, 1960”.

Mama zawsze miała piękne pismo, litery okrągłe, dorodne, równiutkie. Nawet wtedy, gdy pisała o zapomogę do swojego dawnego zakładu pracy:
„Ja, Zofia S., obecnie wdowa, proszę serdecznie o pomoc finansową…” i dalej szły trudne, krępujące słowa, zwieńczone pięknym podpisem.

Była ze wsi, ale z „małą maturą” i zawsze to dumnie podkreślała. Kochała tę wieś, a najwięcej ogródek, mogła godzinami sadzić, plewić, przesadzać, wyrywać chwasty. Tak więc, gdy po ślubie z ojcem przeniosła się do miasta i ja się urodziłam, zrobiła sobie mały skwerek przed samym oknem, na kawałku trawnika.

Co tam nie rosło, chyba wszystko! Ale najbardziej mama lubiła fioletowy kolor, dlatego kwiaty dobierała starannie, podług barwy. Zawsze rosła maciejka i dużo lawendy, bo listki miała wiecznie zielone i przez to mniej trzeba się było natrudzić. Potem szły fiołki, przetacznik, szafirki, niezapominajka. Jedne zaczynały kwitnąć, inne zapadały w sen, tylko lawenda trzymała się cały rok. Pamiętam mamę siedzącą w oknie na parterze naszego pierwszego mieszkania, w golfie koloru lila, ale takim zsuwanym na ramiona, jak łódka, na tle tej lawendowej plamy. Piękna, uśmiechnięta, zawsze czujna, by nie przydarzyło mi się nic złego.

A gdzie tam!

Wszyscy lataliśmy po podwórku, krzycząc i śmiejąc się do rozpuku. Grało się w wojnę, w noża, goniło w berka, w chowanego „pałka- zapałka dwa kije”, kręciło na trzepaku, zbierało bukiety na trawnikach i pobliskich łąkach. Piękne było to moje dzieciństwo, lawendowe!

Mamie ogródka nikt nigdy nie zniszczył, wszyscy szanowali jej pracę a nawet chwalili. Pani Zosiu, ale pani ma ładnie pod oknem! Albo – Ależ tu u pani Zosi pachnie lawendą! To znowu – Pani Zosieńko, tylko u pani taka cudowna maciejka!

Wieczorami schodziliśmy wszyscy na parter, do Zienkiewiczów. Mieli jako jedyni mały telewizor, na który nakładało się trójbarwny plastikowy ekran, imitujący kolorową telewizję. Ależ to było przeżycie! Dzieciom pozwalali jedynie zobaczyć teatrzyk „Wiolinek” albo dobranockę z Jackiem i Agatką. Dorośli oglądali filmy po dwudziestej.

Pamiętam, jak marzyłam, żeby choć raz móc podejrzeć te ich nocne seanse, ale niestety, nigdy się nie udawało. Nawet gdy mieliśmy już własny telewizor, ojciec był stanowczy, zamykał drzwi do pokoju i żadne prośby czy szlochanie nie pomogły. Byłam jedynaczką, ale rodzice chowali mnie bardzo surowo. Tata lubił trzymać wojskowy dryl, bo sam służył w Wojsku Polskim aż do stopnia podpułkownika, potem już nigdy nie dostał awansu, bo rozwodnikom zamykano drogę do kariery.

Ojca wspominam bardzo dobrze, nigdy nie widziałam go pijanego, nie przeklinał, był lubiany i szanowany. Nie kłócił się z mamą i długo jeszcze po ich rozwodzie nie mogłam pojąć (zrozumieć), dlaczego się rozeszli. To była piękna para.

Patrzę na jedno z ich ostatnich wspólnych zdjęć – „ Z Jankiem, marzec 67". On w mundurze, w oficerskiej czapce, w miarę wysoki, wyprostowany, taki twardy żołnierz, mama – delikatna, elegancka, w fioletowym płaszczu na jeden guzik, buciki na obcasie, w ręku mała torebeczka - imitacja wężowej skórki. Paryżanka. Stoją przed naszym blokiem, na tle lawendowego ogródka. Zdjęcie jest czarno-białe, ale mam do dzisiaj w pamięci kolor każdego jej sweterka, każdej spódniczki, każdej apaszki czy kapelusza. Mama była po prostu lawendowa.

Po rozwodzie rodziców musiałyśmy opuścić nasze mieszkanie i lawendowy ogródek. Ojciec wyprowadził się na tak zwane Lotnisko, do kawalerki, ja z mamą dostałyśmy pokój z kuchnią na osiedlu o pięknej nazwie Leśne. Pamiętam, gdy pierwszy raz poszłyśmy do nowego mieszkania na trzecim piętrze i mama otworzyła drzwi do pustego pokoju, który cały zalany był fioletowym światłem neonu z naprzeciwka. Wyglądał bajkowo, bardzo nam się spodobał i wtedy mama powiedziała przez łzy: „Widzisz Basiu, mamy znowu naszą lawendę".

Wracam myślami do tych nastoletnich lat na Leśnym i uśmiecham się sama do siebie. To był okres nawiązywania pierwszych i najważniejszych przyjaźni, które do dziś mają wpływ na moje życie. To one zapoczątkowały fascynację muzyką Niemena, Janis Joplin, grupą SBB czy Breakout. Odkrywanie poezji Szymborskiej, zakazane czytanie książek pod kołdrą (bo psujesz oczy!) pierwsze randki i pierwsze dyskoteki, na których szaleliśmy do późnych godzin wieczornych.

Mama w tym czasie dyktowała modę na osiedlu. Pamiętam, jak pierwszy raz założyła taką podpinkę ze sztucznego misia, która była częścią polowego munduru wojskowego i potem całe osiedle, (gdyż większość to były rodziny wojskowych) starsi i młodsi, zasuwali w tych miśkowatych kamizelkach na wierzchu.

Są też i koszmarne wspomnienia, chociażby te z wojskowej stołówki. Mamę nie było stać na wykupienie dwóch obiadów, dlatego przychodziłam na salę a ona prosiła o drugi talerz i przekładała mi ze swojej porcji trochę mięsa i ziemniaków. Zupa była nielimitowana. Strasznie się wstydziłam tego drugiego talerza i tej biedy, chyba przez to do dziś jem okropnie szybko i nerwowo. Ale takie były wtedy niepojęte czasy, choć mam świadomość, że wiele rodzin żyje tak do dziś.

Mama urządziła nasze mieszkanko skromnie, ale ze smakiem. Dominował delikatny fiolet i wrzos. Bez przerwy zmieniała położenie poduszek na wersalce, upinała od nowa zasłony, przestawiała kwiaty. Na centralnym miejscu, na parapecie w pokoju, stały doniczki z lawendą. Ich zapach już do końca moich dni będzie mi się kojarzył z domem rodzinnym.

Patrzę na zdjęcie z tamtych lat. Jesteśmy obie w parku, ozdobionym wysokimi sosnowymi drzewami. Mama w fioletowej kurteczce z fantazyjnie wywiniętym szalikiem, ja ubrana we wrzosowy sweterek i plisowaną białą spódniczkę przed kolano. Trzymamy w rękach jesienne liście. Kto nam zrobił to zdjęcie, nie mam pojęcia. Może moja koleżanka licealna, może jakaś przyjaciółka mamy? Odwracam fotografię na drugą stronę i czytam: „Z Basią, wrzesień 1970 rok".

Jedno zdarzenie znowu powraca natrętnym wspomnieniem. Na lekcję matematyki trzeba było wykonać model sześcianu. Co mnie podkusiło, że nie robiłam z papieru, tylko z drutu, który oczywiście trzeba było lutować. Razem z Irenką, koleżanką z klasy, trudziłyśmy się tym do późnej nocy, a metalowe krawędzie wcale nie chciały się złączyć. Ale pewnie to wtedy tak spodobało mi się to majsterkowanie, że wybrałam później studia techniczne, na całkowicie męskim wydziale elektrotechnicznym. W każdym razie sześcian wyszedł nieco pokracznie i dostałyśmy po czwórce, co odebrałam jako wyjątkową, dziejową niesprawiedliwość. Nasza pani od matematyki w ogóle była osobliwa nie tylko z powodu tych pomysłowych zadań domowych. Raz pamiętam, jak nam opowiadała, że w domu nie miała pianina i żeby przygotować się na lekcje muzyki, ćwiczyła na rozłożonym kartonowym prostokącie z wyrysowaną klawiaturą. Widzę ją ciągle, jak stoi w trapezowej spódnicy za kolano i wyciągniętym wełnianym swetrze na tle czarnego prostokąta tablicy. Nikt w klasie nawet nie próbował się śmiać, chociaż po latach to wspomnienie robi na mnie wrażenie nieco kabaretowe (absurdalne).

Kolejne zdjęcie – mój ślub cywilny. Mam na sobie lawendową sukienkę z paskiem w talii, toczek z woalką i bukiet lawendy w ręku. Jarek w zwyczajnym, ciemnym garniturze. Jacy jesteśmy piękni na tym zdjęciu! Fotograf uchwycił nas w momencie, gdy wchodzimy do Sali Ślubów. Z tyłu, mamy ręką dopisane – „Kraków, sierpień 1979 rok".

Przewracam kartki albumu, kolejne zdjęcia i kolejne lata mojego życia – przyjście na świat córki, później rozstanie z Jarkiem, samotny rok i spotkanie z Marcinem. Narodziny synów, zmiana mieszkania na większe, praca zawodowa oraz śmieszne rysunki Marcina, dotyczące mojej osoby. Lata szczęśliwe i smutniejsze, uwiecznione na kliszy aparatu. Mama, krzątająca się w mojej kuchni – bo dzieciom trzeba pomagać. Kolejna wigilia w naszym mieszkaniu, jeszcze z teściami, mamą i jej drugim mężem. Potem następne, ale już bez teściowej, ludzie odchodzą z moich fotografii prawie każdego roku. Na ostatnim zdjęciu nie ma także i mamy. Ale za to przy stole siedzi moja mała wnuczka, córka z zięciem i synowie ze swoimi

dziewczynami. Grudzień 2009.

Zamykam stary album. Dziś pojadę na cmentarz, na grób mamy. Od dziecka lubię odwiedzać cmentarze. Będąc mała, zawsze chodziłam po cmentarnych alejkach i czytałam nagrobne sentencje, chciwie wpatrując się w przytwierdzone do marmuru owalne fotografie. Ciekawie spoglądałam na ludzi, których nigdy wcześniej nie znałam i których nigdy nie zobaczę. To takie straszne ale zarazem wciągające (ekscytujące).

Zapalę lampki, postawię doniczkę z lawendą, kupioną wczoraj z myślą o mamie. Zapach fioletowych kwiatków rozniesie się po całej okolicy, razem z zapachem stearyny, przypalonych gałązek jodły i wieczornej mgły, zwiastującej chłodną pogodę na kolejny dzień do przeżycia. Dobrze, że jest do kogo wracać.

Kraków 8.12.2014 r.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

palenieszkodzi, dodano 14.12.2014 12:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.